

LINCOLN CHILD

GROBOWIEC

Wyprawa naznaczona fatum...

Prolog

Doktor nalał sobie w dyżurce kawy ze służbowego dzbanka, sięgnął po stojący na ladzie pojemnik ze śmietanką w proszku, zawahał się i zamiast śmietanką doprawił kawę odtłuszczonym mlekiem z lodówki. Mieszając kawę plastikową szpatułką, podszedł po wyblakłym linoleum do skupiska identycznych foteli. Zza drzwi dochodziły charakterystyczne dla szpitala odgłosy: turkot inwalidzkich wózków i noszy na kółkach, popiskiwanie aparatury medycznej i skrzeczenie szpitalnego interkomu.

Na dwóch z tych wytartych foteli wyciągał swe patykowate kończyny trzecioroczny rezydent Deguello. Normalka, pomyślał doktor — rezydent zasypiający na zawołanie czy to na stojąco, czy na leżąco, czy w jeszcze jakiejś innej niewygodnej pozycji. Kiedy siadał w fotelu obok, rezydent przestał pochrapywać i uchylił powiekę.

— Siemanko, panie doktorze — wymamrotał. — Która godzina?

Doktor zerknął na ścienny zegar nad szafkami.

— Dwudziesta druga czterdzieści pięć.

— O żeż ty! — wyjęczał Deguello. — Znaczy tylko dziesięć minut kimki zaliczyłem.

— Nie kwękaj — mruknął doktor, upijając łyček kawy.
— Noc dzisiaj spokojna jak rzadko.

Deguello zamknął oko.

— Dwa zawały. Jeden rozbity czerep. Jedno cesarskie cięcie. Dwie ofiary strzelaniny, w tym jedna w stanie krytycznym. Poparzenie trzeciego stopnia. Rana kłuta z penetracją nerki. Jedno złamanie proste i jedno z przemieszczeniem. Staruszek odwalający kitę na noszach. Przedawkowania koki, alkoholu, amfy... — tu urwał. — I to wszystko przez ostatnie półtorej godziny.

Doktor upił łyk kawy.

— Wiem, co mówię, nockę mamy dziś spokojną. Patrz na życie od tej jaśniejszej strony. Niewiele brakowało, a mógłbyś teraz zbierać na tacę podczas sumy.

— Myślę tak sobie i myślę — wymamrotał po chwili milczenia rezydent — i nijak pojąć nie mogę. Dlaczego pan to robi? Dlaczego co drugi piątek składa pan siebie w ofierze na ołtarzu urazówki. Ja, wiadomo, nie mam wyboru. Ale pan, taki wybitny anestezjolog?

Doktor dopił kawę i wrzucił pusty plastikowy kubek do kosza na śmieci.

— Trochę mniej dociekliwości wobec starszych i wybitniejszych, jeśli łaska. — Wstał z fotela. — No to pchamy dalej ten wózek.

Wyszedł z dyżurki i skręcił w kierunku stanowiska pielęgniarek na końcu korytarza. Względny spokój. I nagle coś ten spokój zburzyło. Na spotkanie wybiegła mu siostra oddziałowa.

— Wypadek samochodowy! — wołała już z daleka. — Jedna ofiara, zaraz tu będą! Zarezerwowałam już dwójkę.

Doktor skierował się natychmiast do wskazanego ambulatorium. W tym samym momencie rozsunęły się drzwi oddziału urazowego i zespół ratowników medycznych wtoczył nosze. Za nimi wbiegli dwaj policjanci. Po nerwowych ruchach tych ludzi, zaaferowanych minach, krwi na fartuchach i twarzach doktor zorientował się od razu, że to poważny wypadek.

— Kobieta, trzydzieści parę lat! — krzyknął jeden z ratowników. — Brak reakcji!

Doktor zamachał do nich, a do stojącego obok stażysty rzucił:

— Skocz po wózek chirurgiczny.

Stażysta kiwnął głową i oddalił się truchtem.

— I wezwij tutaj Deguella i Corbina! — zawołał za nim doktor.

Ratownicy wtaczali już nosze do ambulatorium numer dwa i ustawiali je przy stole.

— Głową do mnie — zakomenderowała pielęgniarka. — Uwaga na kołnierz usztywniający. Raz, dwa, iii trzy!

Pacjentka została przeniesiona na stół, odsunięto nosze. Doktorowi rzuciły się w oczy blada skóra, cynamonowe włosy, bluzka, wcześniej biała, teraz zakrwawiona. Rozpryski krwi na posadzce znaczyły trasę, którą wtaczano do ambulatorium nosze.

Coś go tknęło, poczuł jakiś nieokreślony niepokój.

— Staranował ją pijany kierowca — mruknął mu do ucha jeden z ratowników. — Mało nam po drodze nie zesła.

Do ambulatorium wbiegli stażyści, za nimi Deguello.

— Znacie grupę krwi? — spytał doktor.

Ratownik kiwnął głową.

— Zero minus.

Zakotłowało się. Podłączano monitory, zawieszano butelki z kroplówkami, wtaczano wózki z aparaturą reanimacyjną.

— Dzwon do banku krwi — rzucił doktor do stażysty.

— Niech tu dają trzy jednostki... albo nie, cztery — skorygował, spoglądając na zakrwawione linoleum.

Do ambulatorium wbiegł Corbin.

Deguello podszedł do wezglowia stołu i pochylił się nad nieprzytomną ofiarą.

— Wygląda mi na sinicę.

— Wytamponować — warknął doktor, wskazując na

brzuch kobiety, obnażony już i cały we krwi. Zerwał szybko prowizoryczny opatrunek założony przez ratowników. Jego oczom ukazała się straszna, otwarta, obficie krwawiąca rana. Spojrzał znacząco na pielęgniarkę, pokazując palcem. Przyłożyła tampon. Kiedy go odjęła, obejrzał znowu ranę.

— Ciężki uraz jamy brzusznej — orzekł. — Możliwa odma opłucnowa. Nie obejdzie się bez nakłucia. — Obejrzał się na ratownika. — Jak, u licha, mogło do tego dojść? Samochód nie miał poduszki powietrznej?

— Ześliznęła się pod nią — wyjaśnił mężczyzna. — Deska rozdzielcza pękła na dwoje jak suchy patyk i pewnie kobieta o nią zahaczyła. Ranną musieli wycinać nożycami przez dach. Kurczę, strasznie to wyglądało. Ten pijany sukinsyn praktycznie zmiażdżył swoim SUV-em jej porsche.

Porsche. Znowu ten nieokreślony niepokój, tym razem silniejszy. Doktor wyprostował się, żeby spojrzeć na twarz kobiety, ale widok zasłaniał mu Deguello.

— Poważny uraz głowy — powiedział Deguello. — Trzeba będzie zrobić tomografię.

— Ciśnienie spada; teraz osiemdziesiąt na trzydzieści pięć! — zawołała pielęgniarka. — Puls siedemdziesiąt dziewięć.

— Kontynuować masaż serca! — zaordynował Deguello.

Wykrwawienie, silny wstrząs pourazowy: mieli najwyżej dwie minuty, żeby ją uratować. Weszła jeszcze jedna pielęgniarka i zaczęła zawieszać torebki z krwią na stojaku.

— To nie wystarczy — warknął doktor. — Ona za szybko się wykrwawia.

— Miligram epi — rzucił Corbin.

Pielęgniarka odwróciła się do wózka, chwyciła większą igłę i uniosła bezwładną rękę kobiety, żeby się w nią wkuć. Kiedy to robiła, doktorowi rzuciła się w oczy dłoń — wąska i bardzo blada — a zaraz potem pierścionek na serdecznym palcu: platynowa obrączka ślubna z osadzonym w niej szafirem gwiazdzistym w kolorze whiskey na czarnym tle.

Bardzo droga, lankijska. Wiedział to, bo sam ją kupował.

— Zatrzymanie akcji serca! — krzyknęła pielęgniarka.

Doktor stał jak słupek soli, sparaliżowany zgrozą i niedowierzaniem. Kiedy Deguello wyprostował się i odwrócił do jednego ze stażystów, zobaczył wreszcie twarz kobiety: włosy w nieładzie, pozlepiane, oczy szeroko otwarte, usta i nos przykryte maską respiratora.

— Jennifer — wychrypiął przez ściśniętą krtani.

— Zanikają funkcje życiowe! — krzyknęła pielęgniarka.

— Lido! — zawołał Corbin. — Lido! *Cito!*

I paraliż, jak ręką odjął, ustąpił.

— Defib! — wrzasnął doktor do pielęgniarki.

Podbiegła do stojącego w kącie wózka z defibrylatorem i przyciągnęła go do stołu.

— Ładowanie.

Podskoczył stażysta, wstrzyknął lidokainę, odstąpił. Doktor porwał drżącymi rękoma paletki. Nie może być. To jakiś senny koszmar. Obudzi się zaraz w dyżurce, w fotelu, obok pochrapującego z cicha Deguela.

— Naładowany! — zawołała pielęgniarka.

— Odsunąć się! — Doktor wychwycił we własnym głosie nutę desperacji. Kiedy wszyscy obecni cofnęli się na bezpieczną odległość, przyłożył paletki do obnażonej, zakrwawionej klatki piersiowej kobiety i włączył prąd. Ciało Jennifer wyprężyło się, wygięło w łuk i opadło z powrotem na stół.

— Brak tętna! — krzyknęła pielęgniarka obserwująca monitory.

— Przeładować! — rzucił.

Ponownie rozległo się basowe, natarczywe buczenie.

— Wstrząs hipowolemiczny — wymruczał Deguello. — Nie było szans.

Oni nie wiedzą, przemknęło przez myśl doktorowi. Niczego nie rozumieją. Poczul, jak jedna z łez napływających mu do oczu zaczyna się toczyć po policzku.

— Przeładowany! — zameldowała pielęgniarka obsługująca defibrylator.

Przyłożył ponownie paletki. Ciało Jennifer znowu podskoczyło.

— Brak reakcji — zakomunikował beznamiętnie stojący obok stażysta.

— To już koniec — westchnął Corbin. — Odsuść sobie, Ethan.

Doktor nie posłuchał. Odrzucił paletki i przystąpił do ręcznego masażu serca. Czuł jej zimne ciało, które nie reagowało, przelewało się pod dłońmi jak zakalcowate ciasto.

— Żrenice nieruchome, rozszerzone — zameldowała pielęgniarka.

Ale doktor, jakby głuchy na te słowa, z jeszcze większym zaangażowaniem i desperacją kontynuował masaż.

W ambulatorium wrzącym dotąd aktywnością zaległa cisza.

— Zatrzymanie akcji serca — dorzuciła pielęgniarka.

— Daj spokój, Ethan — mruknął Corbin.

— Nie! — warknął doktor.

Rozpacz w jego głosie sprawiła, że wszyscy dziwnie nań spojrzeli.

— Co z tobą, Ethan? — spytał zaskoczony Corbin.

Doktor pokręcił tylko głową i się rozpłakał.

Obecni w salce albo patrzyli ze zdumieniem, albo zakłopotani odwracali wzrok. Tylko jeden stażysta otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Płaczący wciąż doktor wiedział, z czym zaraz wróci. Z czystym prześcieradłem do zakrycia zwłok.

1

TRZY LATA PÓŹNIEJ

Jeremy Logan urodził się i dorastał w Westport, obecnie wykładał na Uniwersytecie Yale, wydawało mu się więc, że dobrze zna Connecticut, swój ojczysty stan. Ale okolica, przez którą teraz jechał, była dla niego objawieniem. Kierując się wskazówkami przesłanymi mu e-mailem, za Groton skręcił na wschód, kawałek dalej na US1, a zaraz za Stonington w szosę odbiegającą od autostrady. Pędząc wzdłuż wybrzeża szarego Atlantyku, minął Wequetequock, przejechał przez most, chyba równie stary jak sama Nowa Anglia, i skręcił ostro w elegancko wyasfaltowaną, ale nieoznakowaną boczną drogę. Nie było przy niej ani jednego ze wszechobecnych minimarketów i moteli. Minął senną zatoczkę, gdzie kołysały się na kotwicy łodzie poławiaczy homarów, i wjechał do równie sennej osady czy raczej małej wioski ze sklepem wielobranżowym, warsztatem naprawy takielunku, kościółkiem episkopalnym, nad którym górowała przesadnie wysoka dzwonnica, oraz z krytymi szarym gontem domkami, każdy ogrodzony płotkiem z pomalowanych na biało sztachet. Żadnych kłocowatych SUV-ów, żadnych tablic rejestracyjnych spoza stanu. Machali do niego ludzie siedzący na ławeczkach przed domami albo wyglądający przez okna. Kwietniowe słońce przygrzewało mocno, oceaniczne powietrze było czyste i

rzeńskie. Tablica nad drzwiami budynku poczty informowała, że wioska nazywa się Pevensey Point i liczy 182 mieszkańców. Kojarzyła się Loganowi nieodparcie z Hermanem Melvillem*.

— Och, Karen — wymruczał — gdybyś wcześniej zobaczyła to miejsce, nie naciskałabyś tak wtedy na kupno letniskowego domku w Hyannis.

Jego żona zmarła przed laty na raka, lecz on nadal od czasu do czasu rozmawiał z nią na głos. Naturalnie były to najczęściej monologi, nie rozmowa. Z początku krył się z tym. Zanim zaczął, upewniał się, czy nikt go nie usłyszy. Ale potem — kiedy to, co traktował zrazu jako intelektualne hobby, przekształciło się w profesję — przestał się krygować. Teraz, zważywszy na to, czym się zawodowo zajmował, miał prawo uchodzić za nieszkodliwego dziwaka.

Zgodnie ze wskazówkami zawartymi w e-mailu trzy kilometry za wioską zobaczył wąską drogę odbiegającą od szosy w prawo. Skręcił w nią, przeciął lasek karłowatych sosen i wjechał między bure wydmy. Zaraz za wydmami jego oczom ukazał się metalowy most łączący stały ląd ze sporą, płaską wyspą omywaną przez wody cieśniny Fishers Island Sound. Nawet z tej odległości wypatrzył na wyspie kilkanaście zabudowań z czerwono-brązowego kamienia. Pośrodku stały, jeden przy drugim, trzy duże pięciopiętrowe bloki przypominające akademiki. Po drugiej stronie wyspy, przesłonięty częściowo przez budynki, ciągnął się pusty pas startowy, dalej był już ocean, a na horyzoncie majaczyła ciemnozielona krecha Rhode Island.

Logan pokonał ostatnie półtora kilometra dzielące go od wjazdu na most i zatrzymał się przy wartowni. Pokazał kartkę z wydrukiem e-maila strażnikowi, ten przebiegł wzrokiem treść, uśmiechnął się i podniósł szlaban. Na stylowej, ale nierzucającej się w oczy tablicy obok wartowni

* Autor *Moby Dick*.

widniał napis CBPM.

Logan przejechał przez most i za pierwszym z brzegu budynkiem skręcił na zadziwiająco rozległy parking. Stało na nim co najmniej sto samochodów, a parking pomieściłby ich o wiele więcej. Logan wprowadził wóz na wolne miejsce, zgasił silnik i jeszcze raz przeczytał e-maila.

Jeremy!

Cieszę się, że jesteś zainteresowany. Kamień spadł mi z serca. Rad jestem również, że dysponujesz akurat wolnym czasem, bo jak już wcześniej wspomniałem, nie sposób przewidzieć, ile może potrwać rozwiązywanie tej zagadki. W każdym razie dostaniesz wynagrodzenie za minimum dwa tygodnie w zaproponowanej przez Ciebie wysokości. Żałuję, że nie mogę Ci w tej chwili podać bliższych szczegółów, ale Ty jesteś pewnie do tego przyzwyczajony. I muszę Ci powiedzieć, że nie mogę się doczekać, kiedy po tylu latach znów się zobaczymy.

Wskazówki, jak dotrzeć do Centrum, w załączniku. Czekam na Ciebie rano, osiemnastego. Gdzieś między dziesiątą a południem. I jeszcze jedno: kiedy już dołączysz do tego projektu, będziesz może miał trudności z dodzwonieniem się dokądkolwiek, załatw więc zawczasu, co masz do załatwienia. Do zobaczenia 18!

Pozdrowienia,
E.R.

Logan spojrzął na zegarek; jedenasta trzydzieści. Przeniósł wzrok z powrotem na kartkę. *Będziesz może miał trudności*

z dodzwonieniem się dokądkolwiek. Co to niby ma znaczyć? Czyżby maszty telefonii komórkowej kończyły się na malowniczej Prevensy Point? Tak czy inaczej on „był do tego przyzwyczajony”. Przyciągnął do siebie worek marynarski leżący na fotelu pasażera, wsunął do niego kartkę z wydrukiem e-maila i wysiadł.

Skromnie urządzona recepcja mieszcząca się w jednym z przypominających akademiki budynków skojarzyła się Loganowi ze szpitalną rejestracją: kilka niezajętych krzesełek, stoliki z czasopismami, parę olejnych obrazów na beżowych ścianach i biurko, a za nim kobieta po trzydziestce. W ścianę za jej plecami wpuszczone były litery CBPM, cokolwiek mogło się kryć pod tym akronimem.

Logan podał recepcjonistce swoje nazwisko. Spojrzała na niego z mieszaniną zaciekawienia i zakłopotania. Usiadł na krzeselku, przygotowując się na dłuższe oczekiwanie. Ledwie jednak zdążył sięgnąć po ostatni numer „Harvard Medical Review”, otworzyły się drzwi naprzeciwko recepcjonistki i do recepcji wmaszerował Ethan Rush.

— Witaj, Jeremy! — zawołał od progu, uśmiechając się i wyciągając rękę. — Miło cię widzieć.

— Cześć, Ethan — powiedział Logan i ścisnął mu dłoń. — Kopę lat.

Od czasu, kiedy odbywali wspólnie praktykę w szpitalu klinicznym imienia Johnsa Hopkinsa w Baltimore — on w ramach specjalizacji, Rush jako student ostatniego roku medycyny — tych lat upłynęło już chyba ze dwadzieścia, a Ethan jakby w ogóle się nie postarzał. No, może tylko te kurze łapki w kącikach oczu. Witając się z nim, Logan odniósł wrażenie, że w życiu tego człowieka zaszło coś szokującego, przełomowego, i że ogarnęła go na tym punkcie obsesja.

Doktor Rush rozejrzał się po recepcji.

— A gdzie twój bagaż?

— W samochodzie.

— Daj kluczyki, zaraz kogoś po niego poślę.

— Lotus Elan S czwórka.

— O, la la. — Rush zagwizdał. — Ten kabriolet? Z którego roku?

— Z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego.

— Dobry rocznik. Zaznaczę, żeby obchodzili się z nim jak z jajkiem.

Logan wręczył Rushowi kluczyki, które ten przekazał recepcjonistce, wydając jej szeptem jakieś instrukcje. Potem odwrócił się do Logana, wskazał głową drzwi i ruszył przodem.

Wjechali windą na ostatnie piętro i Rush poprowadził Logana długim korytarzem, w którym załatywało środkami dezynfekcyjnymi i innymi chemikaliami. Skojarzenie ze szpitalem stawało się coraz silniejsze, ale gdzie w takim razie pacjenci? Tych kilka osób, które po drodze napotkali, ubranych było zwyczajnie i najwyraźniej nic im nie dolegało. Logan zerkał z zaciekawieniem w otwarte drzwi mijanych pomieszczeń. Salki konferencyjne, duża, pusta sala wykładowa na co najmniej stu słuchaczy, laboratoria naszpikowane aparaturą, biblioteka pełna papierowych czasopism oraz specjalistycznych czytników. Jego uwagę zwróciło też kilka z pozoru identycznych pokoi, każdy z jednym wąskim łóżkiem, od którego dziesiątki, jeśli nie setki kabli bieгло do przyrządów monitorujących. Reszta drzwi była pozamykana, a małe okienka w nich zasłonięte od wewnątrz. Minęła ich grupka mężczyzn i kobiet w białych fartuchach laboratoryjnych. Zerknęli na Logana, kiwnęli głowami Rushowi.

Rush zatrzymał się przed drzwiami opatrzonymi tabliczką DYREKTOR, otworzył je i gestem ręki zaprosił Logana do środka. Przez zastawiony pełnymi książek półkami sekretariat, w którym siedziały dwie kobiety, przeszli do prywatnego gabinetu. Był urządzony ze smakiem i, w odróżnieniu od zagraconego sekretariatu, minimalistycznie.

Na trzech ścianach wisiało kilka postmodernistycznych obrazów w zimnych odcieniach błękitów i szarości; czwarta ściana, cała ze szkła, przesłonięta była opuszczonymi żaluzjami.

Pośrodku stał wypolerowany na wysoki połysk stolik z drewna tekowego, a po obu jego stronach skórzane fotele. Rush zajął jeden i wskazał Loganowi drugi.

— Napijesz się czegoś? — zapytał. — Kawy, herbaty, mineralnej?

Logan pokręcił głową.

Rush założył nogę na nogę.

— Będę z tobą szczerzy, Jeremy — zaczął. — Nie miałem pewności, czy zgodzisz się podjąć tego zadania, zwłaszcza że tak ogólnikowo ci je nakreśliłem... no i chyba nie narzekasz ostatnio na brak zleceń.

— Nie miałeś pewności, pomimo honorarium, jakiego zażądałem?

— To prawda — przyznał z uśmiechem Rush — wysoko się wyceniłeś. Ale to zrozumiałe, zważywszy na powszechne zainteresowanie, jakie ostatnimi czasy wzbudza to, czym się zajmujesz. — Zawahał się. — Możesz mi przypomnieć, jak nazywasz swoją profesję?

— Jestem enigmatologiem.

— A, tak. Enigmatologia. — Rush spojrział z zaciekawieniem na Logana. — I to prawda, że zdołałeś udokumentować istnienie potwora z Loch Ness?

— Z tym pytaniem musiałbyś się zwrócić do mojego klienta, Uniwersytetu Edynburskiego, który zlecił mi to zadanie.

— Nie omieszkam. — Rush zawiesił na chwilę głos. — A skoro już mowa o uniwersytetach, to jesteś teraz wykładowcą, prawda?

— Historii średniowiecza. Na Yale.

— I co myślą na Yale o twoim obecnym zajęciu?

— Rozgłos nigdy nie zaszkodzi. Przyciąga kandydatów

na studia. — Logan rozejrzał się po gabinecie. Zdarzało mu się często, że nowi klienci wypytywali go o dotychczasowe dokonania. Odwlekali w ten sposób wyłuszczenie problemu, o którego rozwiązanie sami chcieliby się do niego zwrócić.

— Pamiętam te... dochodzenia, które jeszcze na studiach prowadziłeś w Peabody Institute i w Laboratorium Fizyki Stosowanej — powiedział Rush. — Kto by pomyślał, że z czasem zajmiesz się takimi sprawami zawodowo.

— Na pewno nie ja. — Logan poprawił się w fotelu. — Tak. Zechciej mi zdradzić, co się kryje pod tym akronimem CBPM, bo nigdzie tutaj nie widzę jego rozwinięcia.

— Staramy się nie wyklądać kart na stół. Centrum Badań nad Powstawaniem z Martwych.

— Nad Powstawaniem z Martwych — powtórzył Logan. Rush kiwnął głową.

— Założyłem CBPM przed dwoma laty.

Logan spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Ty założyłeś to Centrum?

Rush odetchnął głęboko, sposepniał.

— Widzisz, Jeremy, to było tak. Trochę ponad trzy lata temu miałem dyżur w szpitalu na urazówce i późnym wieczorem karetka przywiozła tam moją żonę Jennifer. Miała straszny wypadek i zupełnie nie reagowała. Próbowaliśmy wszystkiego — masaż serca, defibrylator — ale bez skutku. To był najgorszy moment mojego życia. Nie tylko nie byłem w stanie uratować żony... do moich obowiązków należało jeszcze potwierdzenie jej zgonu.

Logan pokręcił ze współczuciem głową.

— Ale ja tego nie zrobiłem. Nie potrafiłem się przemóc. Nie słuchając asystujących mi lekarzy, kontynuowałem reanimację. — Pochylił się. — I, Jeremy... ściągnąłem ją w końcu z powrotem. Przywróciłem do życia czternaście minut po ustaniu wszystkich funkcji mózgu.

— Jakim sposobem?

Rush rozłożył ręce.

— To był cud. Przynajmniej tak to wówczas wyglądało. Coś niesamowitego. Rewelacja, przełom. Ściągnąć ją znad krawędzi... — Zawiesił na chwilę głos. — Łuski opadły mi wtedy z oczu. Zwolniłem się z Rhode Island Hospital, porzuciłem praktykę anestezjologa i od tamtego czasu badam przypadki NDE*. No wiesz, doświadczeń śmierci, inaczej mówiąc, wrażenia osób, które niemal umarły albo znalazły się w stanie śmierci klinicznej i wróciły.

A więc to jest to przełomowe wydarzenie, przemknęło przez myśl Loganowi.

— Badania nad powstawaniem z martwych, powiadasz — wymruczał.

— Właśnie. Dokumentowanie rozmaitych przypadków, próba analizy i skodyfikowania tego zjawiska. Nie uwierzyłybyś, Jeremy, ile osób doświadczyło NDE i jak podobne do siebie są ich relacje. Człowiek powraca znad krawędzi odmieniony. Jak się pewnie domyślasz, przenosi się to również na jego bliskich. — Szerokim gestem ogarnął cały gabinet. — Bez problemu zebrałem fundusze na stworzenie tego Centrum, na to wszystko. Mnóstwo ludzi, którzy doświadczyli śmierci, pragnie się podzielić swoimi wrażeniami i dowiedzieć czegoś więcej o znaczeniu tego, co ich spotkało.

— Czym się tu konkretnie zajmujecie? — spytał Logan.

— Stanowimy małą społeczność lekarzy i naukowców, przy czym większość z nas ma krewnych lub znajomych, którzy „przeszli na tamtą stronę”. Zapraszamy tu na kilka tygodni lub miesięcy tych, którzy doświadczyli śmierci i przeżyli, żeby dokładnie udokumentować to, co im się przydarzyło, i poddać ich rozmaitym zestawom testów.

— Testów? — spytał Logan.

Rush kiwnął głową.

— Chociaż działamy dopiero od osiemnastu miesięcy,

* NDE — ang. Near Death Experience.

przeprowadziliśmy już sporo badań — i dokonaliśmy wielu odkryć.

— Ale, jak wspomniałeś, utrzymujecie wszystko w tajemnicy.

Rush się uśmiechnął.

— Wyobrażasz sobie reakcję pocziwych mieszkańców Pevensey Point dowiadujących się, kto i w jakim celu przejął dawną bazę szkoleniową Straży Przybrzeżnej o rzut beretem od ich wioski?

— Owszem, wyobrażam. — Zarzuciliby wam nieczyste praktyki, pomyślał Logan. Podejrzane konszachty z ludźmi, którzy zmartwychwstali. Zaczynał się już domyślać, po co go tutaj wezwano. — A konkretnie, co tu się dzieje takiego, w czym mógłbym wam pomóc?

Przez twarz Rusha przemknął cień zakłopotania.

— Och, źle mnie zrozumiałeś. Tutaj nic się nie dzieje.

Logan się zawahał.

— Masz rację... źle cię zrozumiałem. Ale w takim razie, po co mnie tu ściągnąłeś?

— Przepraszam, Jeremy, że mówię ogródkami. Więcej będę mógł ci wyjawić, kiedy znajdziemy się w powietrzu.

— W powietrzu? Nie rozumiem.

Rush wstał i podszedł do ściany naprzeciwko. Jednym zdecydowanym szarpnięciem rozsunał żaluzje. Przez szybę za nimi widać było pas startowy, który Logan zauważył już wcześniej, dojeżdżając do kompleksu Centrum. Ale wtedy był pusty, a teraz stał na nim smukły i połyskujący w promieniach południowego słońca learjet 85. Rush pokazał go palcem.

— Na pokładzie tej maszyny.